

Chodźcie wszyscy do nas!

Autor: Jan-Martin Wiarda

Wiele krajów wymaga od zamożnych obcokrajowców, aby ci współfinansowali uniwersytety, na których studiują. Także niemieccy politycy chcą się dobrać do kieszeni cudzoziemców. Liczą, że w ten sposób uda im się nawet podnieść prestiż uczelni.

Kto chciałby zrozumieć, dlaczego niemieccy politycy zajmujący się sprawami kształcenia spoglądają zazdrośnie w stronę Australii, ten powinien sobie przejrzeć kilka statystyk. Na przykład te, które dotyczą cudzoziemców studiujących na antypodach. W latach 2003–2009 ich liczba ogromnie wzrosła. Na kontynencie, którego liczba mieszkańców jest cztery razy mniejsza niż Niemiec, studentów jest więcej niż w Niemczech – ponad 200 000. Podczas gdy australijska krzywa ciągle pnie się ku górze i osiąga dwucyfrowe wartości, jej niemiecki odpowiednik od lat utrzymuje się na tym samym poziomie.

Naprawdę zapierająca dech w piersiach jest jednak dopiero następna statystyka – przychód z opłat za studia. W samym tylko 2008 roku zagraniczni uczniowie i studenci przekazali na konta australijskich szkół i uniwersytetów 13,7 miliarda dolarów australijskich (8,8 mld euro). Oświata – jak z dumą obwieścił australijski urząd statystyczny – jest obecnie trzecim co do wielkości źródłem przychodów w kraju, zaraz po wydobyciu węgla i rud żelaza. Konsekwencją tego nietypowego modelu jest to, że australijski system oświaty w jednej czwartej finansują obcokrajowcy. Analogiczna sytuacja w przypadku Niemiec oznaczałaby dodatkowe 30 mld euro dla systemu oświaty, który cierpi na chroniczny brak finansów – i to rok w rok. W rzeczywistości wpływy od zagranicznych studentów nie przekraczają jednego miliarda, co nie wystarcza nawet na pokrycie kosztów.

Przyczyna tego jest prosta – obcokrajowcy w Australii płacą w zależności od kierunku nawet czterokrotność kwoty, którą muszą uiścić miejscowi studenci. Dzieje się tak dlatego, że zagraniczni studenci jakoby nie muszą tam płacić żadnych podatków. Niemieckie uczelnie wyższe jak dotąd nie wprowadziły rozróżnienia na studentów z kraju i zagranicy. Jednak australijskie bogactwo obudziło chęć zysku także w Niemczech: dwóch z najbardziej wpływowych polityków zajmujących się oświatą po raz pierwszy otwarcie zażądało wprowadzenia specjalnych opłat dla studentów z zagranicy. Jeden z nich to Andreas Pinkwart, minister do spraw nauki w Nadrenii Północnej-Westfalii. Polityk z FDP właśnie zaproponował uczelniom wyższym w swoim landzie wprowadzenie, wprawdzie niewielkiej,

ale zawsze, opłaty dla obcokrajowców za opiekę na miejscu. Pinkwart argumentuje: „Niemcy muszą zacząć myśleć inaczej. Dobrze sytuowani obcokrajowcy powinni zapłacić tyle, ile warte są studia tutaj, w kraju, w którym rozwój nauki należy do najbardziej uznanych na świecie”. W Wielkiej Brytanii, Australii czy USA zagraniczni studenci stanowią źródło dochodu, „my musimy do nich sporo dopłacać”. Pinkwart wprowadza – co istotne – pewne ograniczenie: tylko obywatele z krajów spoza Unii byłiby objęci wyższymi opłatami za studia, mieszkańcy UE traktowani byłiby tak jak Niemcy. Tę samą praktykę stosuje już Wielka Brytania, która w ramach opłaty za studia pobiera od cudzoziemców około 10 mld euro rocznie.

Drugim zwolennikiem projektu pobierania opłat od studentów z zagranicy jest polityk zajmujący się sprawami kształcenia wywodzący się z ramienia SPD, senator z Berlina Jürgen Zöllner. Ponieważ jest świadomy, że pomysł jest kontrowersyjny, wypowiada się na jego temat dość oględnie. „Można byłoby się zastanowić – twierdzi – nad wprowadzeniem opłat za studia dla zamożnych obcokrajowców spoza Unii, którzy nie pochodzą z krajów rozwijających się”. Australijski sukces warto docenić w zglobalizowanym świecie nauki, w którym wykształcenie stało się samodzielnym czynnikiem gospodarczym. Nawet jeśli Zöllner podkreśla, że omawiany temat nie jest obecnie zapisany w politycznej agendzie, a studia w Niemczech powinny „zasadniczo pozostać bezpłatne”, to jego stanowisko odbiło się w kraju szerokim echem.

Wykształcenia nie powinno się traktować jak towaru – ostrzegają eksperci

W podobnym tonie formułują oni swoje obawy. – Mamy w Niemczech inną tradycję – mówi Uwe Brandenburg z Centrum Rozwoju Szkolnictwa Wyższego (Centrum für Hochschulentwicklung – CHE) – i należy się z tego cieszyć: „Traktowanie wiedzy wyłącznie jako towaru, który po prostu można sprzedać, nie jest zgodne z naszymi wyobrażeniami. Powinniśmy zachować odrobinę kształcenia w wykształceniu!”. Na to, jak odmienne jest wyobrażenie na temat kształcenia w Niemczech, szczególnie wyraźnie wskazuje fakt, że zdanie to padło z ust współpracownika CHE, Instytutu, który na arenie szkolnictwa wyższego uchodzi za bardzo mocno związany z gospodarką, a często wręcz krytykowany za zbytnią wiarę w rynek. Proces kształcenia dobrem gospodarczym? Ten pogląd w szerokich kręgach społeczności akademików niemieckich jeszcze ciągle nie cieszy się specjalną popularnością. Zbyt duża jest wciąż obawa, że opłata za studia mogłaby odstraszyć adeptów nauki od podjęcia studiów w Niemczech. – Chcemy najlepszych i najzdolniejszych, a nie najwięcej płacących – mówi Brandenburg. Rzeczywiście Australia właściwie od początku pozbawia zagranicznych studentów możliwości finansowania nauki z kredytów i stypendiów subwencjonowanych przez państwo. Oczywiście nie może być mowy o związku między łatwym dostępem dla obcokrajowców do studiów na australijskich uczelniach a chęcią zysku, zapewnia rząd w Canberze. Zgodnie z badaniami, średnie wyniki studentów z zagranicy nie są wcale gorsze od osiągnięć Australiczyków.

W każdym razie łamiący tabu Pinkwart i Zöllner są na tyle sprytni, że swoje żądania dotyczące odpłatności za studia od początku ograniczają do zamożnych cudzoziemców. Pieniądze pochodzące od nich mogłyby pomóc w dwójnasób – po pierwsze wpłynęłyby na poprawienie warunków studiowania, co odczuliby zarówno studenci z Niemiec, jak i ci spoza kraju. Po drugie umożliwiłyby przyciągnięcie z zagranicy młodych naukowców. W tej chwili mamy do czynienia z paradoksalną sytuacją, kiedy do USA czy Australii wyjeżdżają nie tylko bogaci, by tam studiować, ale także najzdolniejsi doktoranci, ponieważ dzięki miliardowym zyskom pochodzącym z opłat za studia czeka tam na nich rozłożony czerwony dywan. W żądaniach Pinkwarta i Zöllnera nie chodzi tylko i wyłącznie o dodatkowe miliardy. Płatne studia same w sobie byłyby – jak twierdzi Zöllner – skutecznym narzędziem w międzynarodowym marketingu uczelni wyższych. „Istnieją pewne kręgi, które wobec bezpłatnych studiów są nastawione dość krytycznie”. Pinkwart twierdzi natomiast, że na podstawie obserwacji sytuacji w innych państwach odkrył prawo, zgodnie z którym: „To, co nic nie kosztuje, nie może być wiele warte”.

Wielu cudzoziemców jest gotowych zapłacić więcej za dobrą jakość kształcenia

Opłaty sposobem na zwiększenie liczby studentów z zagranicy? Wniosek ten z pozoru wydaje się paradoksalny – w końcu wśród zagranicznych studentów jest wielu takich, którzy właśnie fakt, że studia w Niemczech są bezpłatne, cenią sobie najbardziej (patrz ostatnia część artykułu). Ale może Pinkwart w swojej domorosłej psychologii nie odbiegł wcale tak daleko od prawdy? Ostatecznie każdego roku niezliczona liczba wybitnie uzdolnionych cudzoziemców, mimo możliwości darmowego studiowania, nie decyduje się na podjęcie nauki w Niemczech, tylko wybiera kraj, w którym za studia będą musieli sporo zapłacić – na przykład Australię. Za kilka miesięcy zostaną po raz pierwszy opublikowane wyniki ankiety przeprowadzonej przez konsorcjum marketingowe GATE-Germany, założonego przez DAAD (Niemiecka Centrala Wymiany Akademickiej – przyp. tłum.) i uczelnie wyższe. Ankieta ma zawierać informacje na temat przyczyn skłaniających do studiowania w innych krajach, a także próbę odpowiedzi na pytanie, czy głównym czynnikiem demotywowującym nie jest przypadkiem język niemiecki. Z pewnością duże zaskoczenie stanowi fakt, że obecnie prawie co drugi kierunek i prawie w każdej formie studiów oferuje zajęcia w języku angielskim.

Specjalista do spraw marketingu Gerhard Jäger twierdzi, że zna powody, dla których studiowanie w Niemczech cieszy się tak małą popularnością: najważniejszym założeniem gwarantującym napływ żądnych wiedzy ludzi jest profesjonalna akcja marketingowa uczelni – i opieka nad cudziemcami na miejscu. Wymaga to sporego nakładu finansowego i personalnego. „Nie wystarczy odrobina reklamy obecnej w internecie czy na targach nauki. Rozbudzone oczekiwania należy zaspokoić.”

Sposób, w jaki to funkcjonuje, doskonale ukazują w Niemczech niezwykle dobrze finansowane akademie sztuk pięknych, które dzięki swojej międzynarodowej renomie i równie znanym dobrym wa-

runkom przyciągają młodych ludzi z całego świata. Zagraniczni studenci zgłębiający tajniki opery lub gry na instrumencie stanowią ponad 60% wszystkich studiujących w Niemczech obcokrajowców. Również tutaj nie ma dla cudzoziemców żadnych dodatkowych kosztów.

Jednakże akademie sztuk pięknych stanowią wyjątek. Poza nimi prawie wszędzie brakuje pieniędzy na podobną opiekę. – Należy stwierdzić, że nasz dotychczasowy system dotyczący cudzoziemców nie jest specjalnie atrakcyjny – mówi Uwe Brandenburg. „Czas studiowania wśród cudzoziemców jest bardzo wydłużony, wskaźnik przerywania nauki wysoki, a obecne kalkulacje raczej nie wróżą poprawy sytuacji”. Okazuje się, że trend, zgodnie z którym zagraniczni studenci wybierają drogą Australię rezygnując z rzekomo korzystnych warunków w Niemczech, ostatecznie wcale nie jest taki paradoksalny. Dzięki dobrej opiece cudzoziemcy w Australii kończą studia szybciej i przy mniejszym nakładzie kosztów, niż w Niemczech. Dlatego też obowiązek nałożenia opłat jest dla Pinkwarta i Zöllnera jednoznaczny z rzeczywistą poprawą jakości usług na niemieckich uczelniach.

Większość uczelni wyższych już dawno zauważyła, że Niemcom grozi utrata zainteresowania ze strony obcokrajowców i usilnie starają się o wsparcie. Jako pierwszy zareagował uniwersytet w Bonn i już przed trzema laty wykorzystał możliwość, którą minister Pinkwart stworzył uczelniom w Nadrenii Północnej- Westfalii. Każdemu z zagranicznych studentów został wystawiony dodatkowy rachunek na 150 euro za semestr. W zamian za to przedłożono im bogatą ofertę – począwszy od kursów niemieckiego na osobistym coachingu podczas sesji skończywszy. „Byliśmy bardzo dumni z naszego programu” – mówi Lieselotte Krickau-Richter, szefowa Centrum Międzynarodowego. Radość nie trwała długo – obowiązek wnoszenia opłaty szybko zniesiono, ponieważ podniosły się ostre protesty z powodu rzekomej dyskryminacji. Co ważne – przede wszystkim ze strony niemieckiej – dodaje Krickau-Richter. – Studenci z zagranicy pomysł ten przyjęli dobrze.

Wprawdzie na razie udało jej się uratować ten program, jednak teraz będzie on finansowany z jednego wspólnego źródła opłat za studia. Jak długo to potrwa, tego nikt nie wie. Zagraniczni studenci są skazani na dobrą wolę innych. Od czasu, kiedy uniwersytet w Bonn odniósł porażkę, żadna z uczelni nie porusza tematu wprowadzenia opłat za studia. Zbyt kontrowersyjna jest już sama idea płatnych studiów, a cóż dopiero ekstra opłaty dla obywateli spoza Unii.

Rozreklamowanie niemieckich uczelni

Uczelnie wyższe oraz DAAD już przed laty założyły Konsorcjum GATE-Germany. Zadaniem biura jest propagowanie w świecie idei studiowania na niemieckich uczelniach wyższych, szczególnie podczas międzynarodowych targów szkół wyższych. Popularnością cieszą się również seminaria organizowane przez GATE: w ich trakcie specjaliści zajmujący się marketingiem wyjaśniają pracownikom biur do spraw współpracy z zagranicą, w jaki sposób każda uczelnia wyższa może stworzyć właściwą strategię zaistnienia na międzynarodowym rynku. Stosowana do tej pory taktyka polegająca na

zwerbowaniu możliwie wielu studentów z jak największej liczby krajów okazała się nieskuteczna. Władze uczelni wyższych zrozumiały, że przyciągnięcie studentów możliwe będzie dzięki skoncentrowaniu się na określonych kierunkach stanowiących mocną stronę uczelni oraz na tych obszarach geograficznych, do których uczelnie są w stanie rzeczywiście dotrzeć.

Uniwersytet w Berlinie Freie Universität (FU) jest jedną ze 118 uczelni uczestniczących w programie GATE. Z pełną świadomością reklamuje się jako „Międzynarodowa Sieć Uczelniana” i w celu pozyskania najlepszych doktorantów oraz młodych naukowców utkał na świecie gęstą sieć złożoną ze swoich przedstawicielstw. Przykład FU ukazuje jednak rażące braki niemieckich uczelni pod względem usług skierowanych do zwykłych zagranicznych studentów: z myślą o nich uniwersytet w Berlinie przygotował zaledwie kilka mało przejrzystych stron w internecie, które wprawdzie sformułowane są po angielsku, ale jednak większość linków jest w języku niemieckim. Można tam znaleźć również informację, aby chętni kontaktowali się za pośrednictwem infolinii dla zainteresowanych studiami. Jeśli chodzi o obsługę przez internet, FU przyrzeka wprawdzie poprawę, ale jeśli nawet zagranicznym studentom uda się już dotrzeć do stolicy, to uniwersytecka biurokracja, znana też doskonale niemieckim studentom, nie ma końca. Istnieje wprawdzie tydzień przygotowawczy dla wszystkich zainteresowanych. Jeśli jednak ktoś będzie miał jeszcze jakieś dodatkowe pytania, ten będzie odsyłany przez administrację od drzwi do drzwi, a główny numer do spraw studentów zagranicznych jest – jak przyznaje szef działu zagranicznego – na początku semestru stale przeciążony. – Robimy wszystko, co możliwe i chętnie robilibyśmy jeszcze więcej – mówi Günther Schepker – ale nasze możliwości personalne są bardzo ograniczone.

Artykuł został opublikowany w 9. numerze „Die Zeit” w dn. 25 lutego 2010 roku.

Tłumaczenie z języka niemieckiego: Kinga Zielińska

Redakcja: Zofia Matejewska

© DIE  ZEIT

© dla polskiego tłumaczenia

